

MYŚLIWIEC

WARMIŃSKO



MAZURSKI

DODATEK DO Nr 4 (90) / 2021

Czyżby zapomniany jubileusz?

W nawale politycznych wydarzeń i ścisku doktryn organizacyjnych w Polskim Związku Łowieckim niemal zapomniano o autorze utworów literackich, które wzruszały i wychowywały pokolenia myśliwych drugiej połowy ubiegłego wieku i do dziś są żywe w ich pamięci. Trudno zapomnieć o przegodach dwóch młodych adeptów łowiectwa, przechodzących perypetie i przeżycia niełatwej drogi do samodzielności i dobrych wyborów.

Autor tych opowieści Edward Kopczyński, łódzki lekarz, urodził się 25 października 1921 roku w Łodzi i z tym regionem był związany do końca życia. Oprócz pracy zawodowej poświęcał się działalności pisarskiej, głównie dla młodzieży. Największe uznanie i zainteresowanie zyskała trylogia o tematyce łowieckiej „Kłusownik chodzi nocą”, „Ślady na śniegu” i „Egzamin łowiecki”, będący zwieńczeniem atrakcyjnej całości. O wartości dydaktycznej wymienionych opowieści świadczy trwający nieprzerwanie od półwiecza sentyment czytelników, którego nie sposób wytłumaczyć jedynie skłonnością do wspomnień i faworyzowania czasów młodości.

Miejsca i wydarzenia opisywane przez Edwarda Kopczyńskiego są mi szczególnie bliskie. Samo miasto, jego znaczenie industrialne dla regionu, związki administracyjne, materialne i kulturowe sprawiały, że w Łodzi widziałem spełnienie wielu planów, zamierzeń i sukcesów. Kto czytał „Egzamin łowiecki” i pamięta opis pokoju będącego siedzibą Zarządu Wojewódzkiego PZŁ na Zachodniej na pewno spostrzeże niezwykłość tego biura. Na młodych kandydatach na myśliwych, oczekujących na egzamin sprawiał fascynujące wrażenie. Znałem to wszystko ze spotkań w Zarządzie, z wielu rozmów i projektów. Wiele wspomnień wiąże się z zawodami strzeleckimi na Zdrowiu i w Nowosolnej gdzie zdobywałem strzeleckie szlify i także sukcesy w rywalizacji sportowej. Pamiętam te czasy, pamiętam kolegów myśliwych, którzy tam spełniali się w swej pasji łowieckiej, ich serdeczność i koleżeństwo. Podobnie jak pisarz, nie wymieniam prawdziwych nazwisk ale mam je zapisane w autentycznej, szczerzej pamięci.

Właśnie przypada stulecie urodzin człowieka znanego przez wielu myśliwych starszego pokolenia i pamiętanego jako twórcę wspomnianej trylogii. Jednak o nadchodzącej rocznicy pamiętało niewiele, a pomysłu na upamiętnienie miało jeszcze mniej. Kiedy



pisałem o literaturze myśliwskiej w powojennej rzeczywistości zwracałem uwagę na ubóstwo poezji inspirowanej łowiectwem. Prozy też nie uświadczylimy bogactwa poza kilkoma nazwiskami. Nie myślę tu o wysypie opowiadań, które pojawiły się w czasie powstawania regionalnych czasopism łowieckich, czymś przecież trzeba było wypełnić lamy czasopism. Ich forma, treść i poziom odbiegały jednak od teorii literatury, często powstawały na skutek nieznamośności różnic między opowieścią a reportażem, między opowiadaniem a sprawozdaniem.

Spośród tytułów o dużych wartościach artystycznych, a także poznawczych, trylogia Edwarda Kopczyńskiego wyróżnia się wśród literatury młodzieżowej. Dwaj maturzyści przystępujący do egzaminu łowieckiego, w opowieści o tym

właśnie tytule, dają asumpt do zapoznania się z łowiectwem jako takim i z językiem, którym posługują się myśliwi. W zachwycie nad wystrojem biura Zarządu Wojewódzkiego PZŁ w Łodzi i w przedstawieniu pytań i odpowiedzi egzaminacyjnych mamy wykład zaznajamiający z regułami obowiązującymi myśliwych. Nawet stworzenie postaci negatywnej miało swój cel: pokazanie złych postaw i braku przyzwolenia na przyjmowanie do bractwa myśliwskiego ludzi nieprzygotowanych. Szczególnie dziś jest to bardzo aktualne, ma bowiem niemały wpływ na wizerunek łowiectwa.

Jakie słownictwo w wypowiedziach egzaminacyjnych myśliwych i kandydatów poznajemy? O eksponatach na ścianach i w gablotach: łeb łosia, imponujące poroże, rozłożyste łopaty, krótkie wypustki, poroże z licznymi rozgałęzieniami, broń dzików-odyńców, szable i fajki, parostki sarn-kozłów. Nie przytaczam nazw gatunków zwierzyny będących nazwami języka ogólnopolskiego; kaczki, gęsi, kuropatwy, przepiórki nie pochodzą z języka łowieckiego. To wszystko ładnie ale nie całkiem poprawnie. Te krótkie wypustki na obrzeżu łopat łosia to pasynki, a rozgałęzienia tyk wieńca to odnogi. Padło też w jednej odpowiedzi, uznanej za poprawną, że polowanie to piękny sport! Nawet biorąc pod uwagę czas powstania powieści, deklaracja trochę nie na miejscu. No ale cóż! Kto się nie myli? Nawet nasz wieszcz narodowy miał trudności z doliczeniem się córek podkomorzego, a Tadeuszowi kazał „z dziecinną radością pociągnąć za sznurek, by stary Dąbrowskiego usłyszeć mazurek”.

Był wtedy rok 1811, a Pieśń Legionów Polskich we Włoszech powstała w roku 1797. Nim dotarła na Litwę, i to w postaci zegarowego kuranta, mogła zyskać miano „starego”? Po 14 latach, zakładając, że rozpowszechniono ją przy pomocy umyślnego posłańca! Ale zegar? Nie tylko Mickiewicz miał kłopoty z rzeczywistością, twórca „Faraona” kazał Egipcjanom jeść pomarańcze, których w żaden sposób nie mogli wtedy kosztować, bo ich po prostu nie znali!

Z takich nieporozumień trafia się jeszcze autorowi „Egzaminu łowieckiego”. Jedno: sprawa posiadanej przez Michała broni myśliwskiej. W rozmowie z rodzicami chłopak dowiaduje się o planowanym przez nich prezencie za zdany egzamin na studia, nowej dubeltówce! W tamtych czasach rzecz niezwykła przy brakach w zaopatrzeniu sklepów myśliwskich. Ale już w sklepie, gdzie poszli z dziadkiem Michała, okazało się, że sprzedawca w „Jedności Łowieckiej” – myśliwskiej spółdzielni, która zajmowała się w tamtych latach handlem bronią i amunicją – zaoferował im dwa nowiutkie boki więc bez namysłu je kupili. Nie byłoby w tym nic dziwnego gdyby nie wyjście obu chłopców na pierwsze kuropatwy. Co się okazało? Otóż świeżo upieczeni łowcy wydobyli z pokrowców... dubeltówki! Dziwna i niezrozumiała przemiana boków w dubeltówki dla niewtajemniczonych byłaby niespostrzeżona ale myśliwi wiedzą, że to dwa różne rodzaje śrutowej broni palnej, skąd więc się wzięły w pokrowcach dubeltówki?

Ot, chyba kolejne przeoczenie autora! Nie zauważam tego w celu zdyskredytowania dobrego pisarza, tak tylko dla podkreślenia uwagi na imponderabilia. Na czym polega więc popularność tych powieści w kręgach myśliwskich?

Akcja zbudowana została wokół problemów koleżeństwa i przyjaźni, nie tylko w młodzieńczym wieku i nie tylko w tamtych czasach. Wydzźwięk zdarzeń miał być pozytywny, na potrzeby literackie nieco przejawskawiony, przerysowany. Dwaj chłopcy o różnych charakterach, wyrozumiali rodzice, uczynny sprzedawca broni, szlachetny dziadek-leśniczy i na koniec koło łowieckie o niezwykłej atmosferze prawości i koleżeństwa! Zupełnie jak w utopijnych założeniach Tomasza Morusa z XVI wieku gdzie miało być szlachetnie, zgodnie i po równo! Za tego typu rzeczywistością jest głęboko ukryta w duszy tęsknota, która jednak przegrywa w zderzeniu ze smutną prawdą o życiu. Próżno autor wydobywa groźne zdarzenie z polowania, które godzi zwaśnione postaci dramatu. Przesadził w pomyśle rozwijania akcji, niewiarygodny skutek skłucia nożem dzika, który po przyjętej mocnej kuli jest żywy a pada śmiertel-

nie ugodzony finką. Jednak intryga powieściowa kończy się dobrze, nikt nie docieka wad konstrukcyjnych zdarzenia, bo każdy czuje potrzebę takiego finału. Jako rekompensaty za przeciwieństwa i rozczarowania codzienności. Ta codzienność wyziera bowiem z każdego kąta myśliwskiej siedziby, powiedziałbym nawet, że wyziera i skrzeczy!

Taka ocena opowieści Kopczyńskiego spotka się pewnie ze sprzeciwem części myśliwych-czytelników, dopatrujących się w „Egzaminie łowieckim” tego czego chcą się dopatrzeć. Przytaczam więc myśl księcia poetów, Ignacego Krasickiego: Prawdziwa cnota krytyk się nie boi! Każda krytyka jest cenna, sprowadza bowiem zrozumienie wartości dzieła. Niewątpliwie cenniejsza, niż pusta pochwała.

Przechodząc do kolejnych stron opowieści i kolejnych przygód nie sposób nie zatrzymać się nad przygodą wędkarską naszych bohaterów. W porównaniu z częścią myśliwską, łowienie ryb jest dla chłopców większym sukcesem, poczynając od poznania na Mazurach rodaka z Łodzi, który wprowadza ich w fascynujący świat wodniaków aż po niezwykłą zdobycz dla nowicjusza z wielkiego miasta bezcenną. Przy okazji też nasuwa się odniesienie do pierwszego wyjścia na kury. Tam naszych łowców puszczone samych, od razu na głęboką wodę. Niepodobne do specyfiki koła łowieckiego dziadka-leśnika, znanego z dobrych zasad. Niepowodzenia na kurach wynikały właśnie z braku wspomagającego towarzysza, sukces wędkarski był zasługą starszego kolegi, który prowadził i dobrą radą wspomagał debiutanta.

Recenzując powieść Edwarda Kopczyńskiego nie wystarczy napisać: bardzo dobra! Trzeba odkryć zakamarki duszy myśliwego; nie strzelacza, ale odbiorcę tajemnic przyrody. Ona nie każdemu pozwala wejść w tajne ostępy i nie każdemu użyczą swoich smaków i na koniec jeszcze jedna uwaga dotycząca moich kontaktów z łódzkim środowiskiem literackim. Miałem szczęście poznawać wielu przedstawicieli tego świata. Na spotkaniach autorskich spotykałem ludzi radia, teatru i literatury. Jakoś tak się złożyło, że rozminąłem się z Edwardem Kopczyńskim, może z powodu jego okresowej pracy poza metropolią. Ale mam pamiętkę niezwykłą: na jednym ze spotkań klubowych zdarzyło mi się być obdarowanym rysunkiem i dedykacją od ilustratora opowieści Kopczyńskiego. Do dziś emocjonalnie podchodzę do szkicu przedstawiającego ułana z okresu Księstwa Warszawskiego i cennego autografu.

Jan Jerzy Józwiak



Leszek
Mierzejewski

Fikcja, realia czy pech w łowisku?

Myślistwo jest zajęciem dla ludzi dzielnych i odważnych, jednakże nie wykluczam nemrodów o poglądach ludzi przesądnych. Będąc w łowisku trzeba pamiętać, że obok stałych i powtarzających się trudności czekają nas niespodziewane zagrożenia – najczęściej paskudna pogoda, utrudniony teren, szwankujące zdrowie ale i z pechem mamy do czynienia. Naszych dziadków i pradziadków dodatkowo nawiedzały duchy w łowisku. Nazywano je bożkami, boginkami, nimfami, rusalkami, topielcami lub demonami.

Spotykali oni duchy w gęstym borze gdy świecił księżyc, a gdy przychodziły święta bożonarodzeniowe lub wielkanocne spotykali ich o każdej porze dnia i nocy. Rozprzestrzenianiu się mitów i legend sprzyjały przeróżne fantastyczne opowieści snute przez utalentowanych w tym kierunku gawędziarzy myśliwskich. Wymyślali oni legendarne stwory lub nierealne wydarzenia nie licząc się ze zwyczajną logiką. Las przedstawiali jako środowisko o niezwykłych mocach, często

w zmyślonych sytuacjach. W trakcie relacjonowania własnych przygód łowieckich nie szczędzili fantazji przestrzegając lud z możliwością spotkania istot nadprzyrodzonych.

Faktem jest, że ówczesni myśliwi i leśnicy świadomie podniecali zabobonną wiarę prostych ludzi w złe leśne demony i diabły pragnąc w ten sposób chronić bory przed wiejskimi kłusownikami i grabieżcami. Wmawiano prostemu człowiekowi, że tylko oni, to znaczy ludzie lasu (myśliwi i leśnicy), są osobnikami niezwykłymi i mogą mieć bezproblemowy kontakt z leśnymi demonami. Sugerowana teza przynosiła w pewnym okresie duży efekt – szczególnie w nocy na ziemiach wschodnich i wśród górali.

Dzisiaj nastąpiły inne czasy. Mieszkający na wsi ludzie nie wierzą w duchy, w magię czy przesady. Spadła do minimum kradzież drewna w lesie. Jedynie kłusownictwo kwitnie jak za dawnych lat. Obecnie myśliwi również inaczej odnoszą się do przesądów w łowie-

ctwie. Najczęściej – niezależnie od stanu liczebności zwierzyny – uznają teren za szczęśliwy lub przynoszący niepowodzenie. Są zatem i ambony, z których notorycznie się pudłuje, a są i takie z których nawet bez celowania pozyskuje się i to ze znacznej odległości zwierzynę. Są ścieżki myśliwskie, na których absolutnie nie udaje się skutecznie podejść zwierzyny, w przeciwieństwie do takich, gdzie idąc nieostrożnie i z wiatrem – spotyka się dziką zwierzynę.

Starosłowiańscy łowcy składali ofiary Radogostowi, zwanemu również Swarozycem, jako złemu duchowi po to żeby nie szkodził łowom. Współcześni myśliwi również składają jakieś tajemne ofiary, tylko żaden nie przyznaje się do swych rytuałów. Przecież wiemy, że przed wyruszeniem na łowy niejednen z nas dokonuje ceremoniału pogłaskania kolanka! Wielu z nas nosi ze sobą wysuszony scypuł. Część z nas nie goli się przed wyruszeniem do łowiska. Wielu nie przecina kocich szlaków chyba, że ktoś nieświadom wcześniej je przejdzie lub przejedzie. Część myśliwych nie zawraca po zapomnianą rzecz, a jak już taki przypadek się zdarzy to bezwzględnie odczekuje minimum 10 minut i to siedząc na prawym pośladku.

Powracając do prasłowiańskich łowców to oni przed wyruszeniem na grubego zwierza uczestniczyli w kultowych obrzędach i słuchali wróżb wypowiedzianych przez kapłanów. Podobny obrzęd przetrwał do dziś w szcztąkowej formie jako część programu tradycyjnego polowania hubertowskiego, pierwszego polowania zbiorowego w nowym sezonie łowieckim. Przed wyruszeniem na łowy wszyscy myśliwi uczestniczą w mszy świętej a kapłan na zakończenie życzy „Darz Bór”.

Jak żadna inna grupa, my myśliwi jesteśmy cholernie przesądni. Pomimo, iż żyjemy XXI w. wierzymy w większość przepowiedni! Przede wszystkim w znaki wróżebne dotyczące rezultatów konkretnego polowania. Niejednen z nas na początku dnia potrafi określić jaki będzie efekt polowania.

Jeżeli wstając postawi wpieryw lewą nogę na podłodze to będzie pech. Jeżeli zaś prawą – szczęście myśliwskie. Identycznie z ubieraniem się, jeżeli w sposób nieświadomy znacznie nakładać prawą część odzienia, jak nogawki w kalesonach, skarpetki itd., to wszystko będzie OK. Jeżeli odwrotnie to zła wróżba będzie się go trzymała do wieczoru. Nawet przebranie nie odwróci „niefartu”. Jeszcze gorszy pech w łowisku przynosi założenie bielizny na lewą stronę. Podczas opuszczania mieszkania tak trzeba wymierzyć kroki, lub je uregulować, aby próg przekroczyć prawą nogą a nie pechową lewą. Po drodze do samochodu nie wolno się oglądać, zawracać po zapomniany przedmiot.

Dzisiaj konne polowania są rzadkością lecz dawniej myśliwi udający się na takie polowanie albo jadąc konnym pojazdem poczytywali za dobrą wróżbę parskanie konia. Złą wróżbą było potknięcie się zwierzęcia. Dziś, za pechowe polowanie uważa się gdy samochód nie odpali za pierwszym razem. A gdy silnik przerwie w czasie jazdy do łowiska należy zawrócić i zrezygnować z polowania.

Dlaczego myśliwi obawiają się szlaków kota domowego lub przebiegającego w poprzek drogi zająca. Korzenie tych obaw tkwią w społeczeństwie od zarania dziejów, bo dawniej funkcjonowało przekonanie, że czarownice chętnie przybierały postać zająca, którego, jak sądzono, można było ustrzelić tylko srebrną kulą a nie śrutem. Tak więc zając, a w gwarze myśliwskiej kot, wybiegający nie wiadomo skąd i przecinający drogę wędrowcowi nie wróży nic dobrego.

Kiedyś, będąc młodym, niedoświadczonym myśli-



wym nie przywiązywałem wagi do przepowiedni czy przesądów. Rano wstawałem tą nogą, która mi pasowała. Ubierałem się tak jak mi podchodziła garderoba. Nawet nie wiem, którą nogą przekraczałem próg mieszkania. Kolanek żony ani sąsiadek nie głaskałem bo odpowiedziałyby, że coś mi się w głowie pomieszało. Niejednokrotnie wracałem na drugie piętro do mieszkania, bo nie raz zostawiałem portfel z dokumentami myśliwskimi i prawem jazdy, innym razem naboje, czy jakąś część garderoby. Przed garażem, przy śmietniku zawsze koty drogę mi przecinały więc maszerowałem po kocich szlakach śmiejąc się w kułak z przesądów! A powinienem niejednen raz odczekać, a nawet zrezygnować z polowania! Ja miałem wszystko tam gdzie kończy się szlachetna nazwa pleców. No i w efekcie miałem nieszczęścia w łowisku, pech za pechem, raz większy a niekiedy mniejszy. Gdy już za dużo drwiłem z zabobonów i uprzedzeń mój samochód zaczął mnie ostrzegać. Gdy pewnego razu wjechałem w łowisko zaczął kichać i przerywać, przegazowałem go i pojechałem dalej. Gdy dojechałem do mojej stałej, zadaszanej ambony okazała się zajęta. Zasiadłem na wcześniejszej, odkrytej. Po godzinie lunął deszcz. Zmokłem jak przysłowiowa kura. Gdy schodziłem górny szczebel urwał się, po prostu pękł pod moim 110 kg ciężarem. Spadłem na łeb na szyję. Poobijany byłem jak schabowy przed smażeniem. Dowlokłem się do samochodu na jednej nodze, bo druga po upadku nie nadawała się do użytku, zresztą spuchła jak balon – idąc podpierałem się kijem. Na dodatek nie mogłem ruszyć samochodem gdyż miałem tylko jedną sprawną kołozynę. Telefonów komórkowych jeszcze nie było, dopiero po godzinie nadjechał kolega z zadaszanej ambony i pojechaliśmy do Szczytna transportem „na hol”. Na dodatek jeszcze kolbę od sztucera miałem połamaną. Jedyne szczęście, że po prześwietleniu okazało się, iż nogę miałem nie połamaną. Tak więc mogę stwierdzić, że życie myśliwskie jest atrakcją i bywa poprzetykane przygodami. Tylko trzeba wierzyć w przesady, które współlistnieją z najzwyklejszymi pechami i nieszczęściami!

Dawno temu spotkałem kolegę myśliwego, wieloletniego emeryta, który mi ze smutkiem oznajmił, że nie ma szczęścia do polowań! Zapytałem go, czy przez pudłowanie? Nie! – odpowiedział i dodał, że ostatnimi laty nie wychodzi na niego zwierzyna, po prostu mam pecha – stwierdził! Co innego jest brak szczęścia gdy zwierzyna nie idzie w łowisku, a co innego jest pech – wyjaśnił mi i dodał, że mianem tym określa się zbieg okoliczności lub szczęście w nieszczęściu!

Nadal indagował: Jak nazwać szczęście w łowisku, które się już chwyciło obiema rękami lecz ono się wymknęło? To jest zwykły pech – odpowiedziałem, gdyż już miałem dość z nim dyskusji.

Nic nie rozumiesz?! – odpowiedział – co to jest nie mieć normalnego szczęścia w polowaniach! Przykładem jest moja ostatnia zasiadka na byka! Mam odstrzał w kieszeni, siedzę na rykowisku i wychodzi mi złotomedalowy okaz na idealny strzał. Paraduje przede mną, patrzy w moją stronę beznamiętnie, nie widzi mnie tylko goni ostatnie błyski zachodzącego słońca, przemykającego pomiędzy drzewami. Decyduje się na pewny strzał. Chwytam za sztucer, opieram o brzeg ambony, przylegam do lunety, krzyż naprowadzam na komorę i pociągam za spust. Lekkie trzaśnięcie, niewypał! Byk podnosi głowę, nieruchomieje, ja odciągam zamek chcąc szybko zamienić nabój lecz poprzedni pozostał w lufie – pierwszy raz w życiu. Nożem wyciągam nabój. Byk odwrócił piękny łeb z ciemnym, rozłożystym porożem i pobiegł wolno w przeciwną stronę młodnik dziwacznie, dostojnie jak na swój wiek. Wprowadziłem do lufy nową kulę ale o minutę za późno. I to według ciebie jest zwykły pech – stwierdził mój znajomy nemrod. Ale żebyś nie myślał, że święty Hubert tylko tobie niełaskaw, więc posłuchaj mojej opowieści: Zachciało mi się ostatniej zimy, o zmierzchu, w czasie padającego śniegu samotnego wyjazdu do łowiska. Gęste i duże płaty śniegu w reflektorach samochodu wyglądały niesamowicie, jakbym wjeżdżał w jakąś otchłań! Wgłębiałem się w ponadziemską biel. Sceneria była tak piękna, że jechałem zauroczony, prawie z otwartą gębą. Z racji trudnej jazdy w śnieżycy w okolicach ambony zjawiłem się dość późno. Gdy wyszedłem z samochodu śnieg przestawał padać tylko jego spadające od czasu do czasu płatki były coraz większe i coraz bardziej mokre. Gdy dojechałem do ambony śnieg na szczęście ustał ale wszystko było pokryte bia-



Stefan
Wojciechowski

Etyka, tradycje i zwyczaje łowieckie

Jak w każdej dziedzinie życia tak i w łowiectwie istnieją pewne ogólnie przyjęte zwyczaje oraz normy postępowania, a niestosowanie się do nich nie jest wprawdzie zagrożone karą przez przepisy prawne lecz dyskwalifikuje sprawcę moralnie w opinii innych. Polowanie polega na zabijaniu istot żywych, dlatego samo w sobie jest nieetyczne, jednakże wykonując je powinniśmy przestrzegać następujących zasad: strzelać do zwierzyny wolno wtedy gdy mamy możliwość podniesienia ubitej sztuki, gdy rodzaj broni, ładunku oraz warunki w jakich strzelamy dają pełną możliwość należytego jej trafienia.

Etyczne zachowanie myśliwego w stosunku do otaczającej przyrody jest wyznacznikiem jego kultury osobistej i zasad moralnych stosowanych w codziennym życiu.

Zasady etycznego zachowania się na polowaniach zbiorowych obejmują wiele sytuacji, które nie mają wyraźnej wykładni w Regulaminie polowań. Etyczny myśliwy nie ogranicza swego udziału w gospodarce łowieckiej tylko do polowania ale interesuje się bezpieczeństwem łowiska i zwierzyny, jej hodowlą i ochroną, sprawami organizacyjnymi i gospodarczymi swojego koła łowieckiego.

Oprócz tradycyjnego języka łowieckiego, współczesne łowiectwo zachowało stare zwyczaje, które wzbogacają przeżycia myśliwskie i czynią z polowania pewnego rodzaju obrzęd oddający hołd zwierzynie i kniei. Do takiego ceremoniału należy przede wszystkim ślubowanie, a także chrzest myśliwych i pasowanie, wręczanie „złomu” i pokot.

Do tradycji łowieckiej należy uświęcenie przypadającego na 3 listopada dnia patrona myśliwych św. Huberta. Tradycyjne łowy organizowane przez nasz związek to polowanie wigilijne lub noworoczne.

łą, puchową i grubą pierzyną. Było przepięknie, na dołki widno, gdyż przypadała pełnia. Usadowiłem się wygodnie, cisza zaległa w lesie, czasem tylko z gałęzi drzew zsuwały się z szumem płaty śniegu robiąc niesamowite wrażenie. Mocniej wówczas biło mi serce. Moja ambona stała tak, że miałem możliwie najlepszą widoczność, tylko ten mokry śnieg powodował, że gałęzie powyginały się do niesamowitych rozmiarów nawet do samej ziemi tworząc bajkową scenerię.

Po godzinie czasu ujrzałem daleko, w starodrzewiu czarne plamy, które przesuwwały się w moim kierunku. Nie miałem wątpliwości, że to wataha dzików, która zaraz zjawi się przed moją amboną. Tak też było. Widziałem je i nie widziałem. Przymierzałem się i odkładałem sztucer bo one chodziły jak zaczarowane pod zwisającymi, śnieżnymi gałęziami drzew. Mogłem strzelać ale kula rozbiłaby się o gałęzie. Huk wystrzału spowodowałby ucieczkę watahy więc naprzyglądałem się buchtującym dzikom pod czapami śniegu. I to był właśnie zwykły pech. Ale na pocieszenie, święty Hubert spowodował, że spojrzełem mocno w lewo, a tam gdzie rosła trawa tak wysoka, że śnieg nie przykrył jej całkowicie, ujrzałem coś rudego. Za chwilę ukazał się lis. Wycelowałem starannie. Rudzielec padł w ogień.... Parszywy, prawie bez sierści. Tak się skończyło moje pechowe polowanie.

Ledwie wróciłem do domu bo po drodze rozkopywałem śnieżne zaspę. Dobrze, że zabrałem łopatę. Gdy już wychodziłem z garażu nie pomyślałem o zwykłym pechu tylko o szczęściu, że nie spadłem z drabiny, że nie ugrzęzłem na dobre w śniegu, że nie zabłądziłem w lesie, że za chwilę będę w ciepłym mieszkaniu!

Ślubowanie jest pierwszym obrzędem, z którym spotyka się młody myśliwy przyjęty do Polskiego Związku Łowieckiego. Obrzęd ten wprowadza go w klimat tradycji i obyczaju łowieckiego. Ślubowanie odbywa się zwykle w łowisku, w czasie zbioru myśliwych przed pierwszym zbiorowym polowaniem.

Podczas ślubowania towarzyszy młodemu myśliwemu jego opiekun, który sprawował pieczę nad nim w czasie odbywania stażu. Ślubowanie przyjmuje przewodniczący zarządu koła, łowczy lub prowadzący polowanie. Ślubujący zostaje wywołany z szeregu myśliwych przygotowanych do odprawy. Ślubujący powtarza za przyjmującym tekst klęcząc z odkrytą głową na lewym kolanie, broń trzyma w lewej ręce pionowo opartą stopką o ziemię, za nim stoi opiekun trzymając prawą dłoń lub kordelas na jego ramieniu.

Po wypowiedzeniu formuły myśliwy wstaje, przyjmujący ślubowanie podaje mu rękę i wypowiada słowa: „Na chwałę polskiego łowiectwa bądź prawym myśliwym, niech Ci bór darzy.”

Zebrani na odprawie koledzy odpowiadają – „Darz Bór”

Polowanie wigilijne ma szczególny charakter gdyż fakt czynnego polowania jest tutaj tylko dodatkiem. Myśliwi przed pierwszym miotem lub pędzeniem udają się do paśników i składają tam karmę. Następnie, najdalej po czterech godzinach, przy ognisku bądź wspólnym stole dzielą się opłatkiem składając sobie życzenia świąteczne.

Polowanie noworoczne ma także świąteczny charakter, jednak odbywa się w pełnym dniu. Kończy się tradycyjnym pokotem i również spotkaniem przy ognisku lub wspólnym stole. W podsumowaniu dokonuje się bilansowania łowieckich przeżyć w minionym roku i kończy się wspólnymi życzeniami noworocznymi.